

Wolność do dzieci

Agata Araszkiwicz

Nigdy nie chciałam mieć dzieci. Albo inaczej – swoich życiowych wyborów i celów nie definiowałam, opierając się na chęci (lub nie) posiadania potomstwa. Obce było mi pragnienie zachowania własnego śladu przez zaklinanie go w kolejnym pokoleniu. Pamięć, która mogłaby w takim intymnym kadrze o mnie przetrwać, nie wydawała mi się godna przedłużenia. Wyznawałam zasadę, że egzystencja, owszem, zmusza nas do przekraczania samych siebie, do transgresji, ale kosztem nas samych, a nie za sprawą powołanych przez nas – metodą reprodukcji – bytów. Kontakt z tym, co ponadczasowe, odbywał się w moim pojęciu przez aktywność intelektualną, wymagającą lekturę czy kontakt ze sztuką. A jednak piszę te słowa jako mama pięcioletniej Pomme i sześciotygodniowego (sic!) Oskara.

Miałam (mam) dzieci „późno” – jestem 40-letnią mamą niemowlaka. Afirmuję ten wybór jako świadomy i satysfakcjonujący. Owo (tak źle nazywane) „posiadanie dzieci” oczywiście stało się dla mnie doświadczeniem zaskakującym i obezwładniającym. Zaskakującym poprzez nadmiar pozytywności, jaki może przynieść. Obezwładniającym, gdyż całkowicie zawłaszczonym przez społeczny dyskurs kontroli i władzy zarówno życia rodzinnego, jak i samego rodzicielstwa. Z kobiecego punktu widzenia najważniejsze jest tu, rzecz jasna, doświadczenie ciąży i biologicznego faktu rodzenia, dla których w dostępnym nam repertuarze symbolicznym

nie ma żadnych odpowiednich form czy wyobrażeń. Żyjemy więc, jako kobiety i mężczyźni, całkowicie oderwani i nieświadomi faktu swojego (macierzyńskiego) początku i jego konsekwencji. Materialności życia, cielesności natury istnienia nic nie oddaje lepiej niż akt rodzenia, owo metaforyczne „ciało z ciała”, ugruntowane w swoistej, precyzyjnej pracy „ciało w ciało”. Zarówno podmiotowa współzależność, jak i absurd duchowo-cielesnego dualizmu, na którym wciąż opiera się nasza kultura, są nieustannie potwierdzane w każdorazowym fakcie porodu. A jednak jest to doświadczenie, które zostało najbardziej zafałszowane i całkowicie skolonizowane przez wyobrażenia słabości, odmienności, ułomności. Utrwała binarność – podział na sprawnego, dostępnego mężczyznę i uwikłaną w sprawy ciała, odseparowaną od życia społecznego kobietę. Wyklucza kobiety z rynku pracy i umacnia ich delikatną pozycję petentek wymagających oddzielnych praw (reprodukcyjnych), prawa do specjalnej ochrony.

Muszę przyznać, że do feminizmu, gdy mieszkałam jeszcze w Polsce lat 90., przyciągnął mnie właśnie jego stosunek do macierzyństwa. Odwrotnie niż głosiła to ostatnio Agnieszka Graff w publicznej dyskusji związanej z wydaniem jej książki *Matka feministka*, żaląc się na poczucie wykluczenia z polskiego feminizmu jako matka, w swoim czasie właśnie w feministycznych lekturach (to prawda, że wtedy głównie zagranicznych) odnajdywałam wątki

myślenia o macierzyństwie i poczuciu wolności kobiet, które najbardziej mi odpowiadały. Te intuicje, które rozwijałam w tym samym czasie, gdy moje koleżanki (słusznie zresztą) zajmowały się zwalczaniem mitu Matki Polki, dzisiaj zamieniły się w pewność. Macierzyństwo pozostaje rzeczą całkowicie do odkrycia na nowo, pod warunkiem że przemyślimy i poddamy od nowa sprawdzeniu nasze rozumienie pojęcia kobiecej wolności.

Widziałabym ten fenomen macierzyństwa jako bardzo szeroką wizję. Szacunek, którym powinniśmy otoczyć samo ciało, jak i cielesność rodzenia, wymaga przemyślenia naszego podejścia do całości praw reprodukcyjnych. Afirmując własny poród (zaledwie sześć tygodni temu!), muszę przyznać, że był on jedną z najprzyjemniejszych, najbardziej wdzięcznych rzeczy, jakie mnie w życiu spotkały... Nie bez kozery: rodziłam... z dala od Polski (w której macierzyństwo pozostaje ciągle kwestią przede wszystkim walki ideologicznej) – w belgijskiej klinice, przypadkowo położonej tuż pod moim domem, która słynie ze świetnych usług położniczych. Nie tylko miałam swobodny dostęp do wszelkich medycznych dogodności na każdym etapie procesu ciąży i rozwiązania, ale także przede wszystkim – chcę tu podkreślić i będę to robić stale – moralne i psychiczne wsparcie, jakiego mi tam udzielono, nie może się równać z jakością żadnej innej usługi medycznej, którą dane mi było w życiu zaznać. Zrozumiałam tym samym, że tylko liberalne podejście i zaawansowany stan uznania praw kobiet, są w stanie zapewnić nam komfort, który jest nie do przecenienia.

Głęboka tolerancja i poszanowanie praw jednostki powinny otworzyć nam oczy na fakt, że prawa reprodukcyjne winny być oczkiem w głowie każdej nowoczesnej demokracji. Wolność do posiadania dzieci powinna się zaczynać od afirmacji prawa do antykoncepcji i do aborcji,

prawa do najwyższej jakości usług medycznych związanych z reprodukcyjnym zdrowiem, takich jak badania genetyczne i wszelkie inne badania prenatalne. W atmosferze przyzwolenia, przychylności i akceptacji dla zdrowotnych, fizycznych i psychicznych potrzeb kobiet dylematy związane z reprodukcją mogą nabrać wiarygodnych wymiarów egzystencjalnych i społecznych. W ogniu przedłużającej się ideologicznej walki nie sposób prowadzić prawdziwej debaty ani rozwijać namysłu nad naturą macierzyństwa. Popłoch i histeria, jakie niejednokrotnie towarzyszą rozmaitym skandalom związanym z prawami reprodukcyjnymi w Polsce (sztandarowym przykładem niech będzie niedawna afera Chazana), powodują, że w dyskusjach nad tymi sprawami dominuje często kompensacyjna emfaza z powodu braku prawdziwej konfrontacji z problemem oraz tłumione odczucia frustracji, a także pogwałcenia godności kobiet i rodziców.

W szerokiej wizji fenomenu rodzicielstwa widziałabym przychylność i akceptację wobec rodzin składających się z rodziców tej samej płci. Widziałabym afirmację zarówno prawa do posiadania potomstwa metodą zapłodnienia in vitro, jak i prawa do adopcji u par jedнопłciowych. Zakładałaby ona wizję rodziny nie jako żmudnego obowiązku, którego czujemy się zakładnikami, ale wolnej unii, którą tworzą ludzie dobrej woli, pragnący być ze sobą razem na co dzień. Właśnie wolicjonalność, wymagająca stale odnawianej mocy decyzji, czyni z fenomenem wspólnoty, jaką jest rodzina, prawdziwą wartość.

Jak wspomniałam wcześniej, jestem mamą dwojga dzieci – dziewczynki i chłopca. Pragnę podkreślić, że jestem tym samym jak najdalej od tego, aby zalecać komukolwiek doświadczenie rodzicielstwa. Można w nim odkryć niezbadane pokłady identyfikacji i przyjemności, ale +

też ciężką pracę, żmudne obowiązki i konieczność rezygnacji z własnej autonomii (przynajmniej rozumianej tak jak wcześniej). Można odnaleźć dziwne uczucie odkrywczości przeżywanego fenomenu, natychmiast zawłaszczane przez wszechogarniający społeczny dyskurs (temat dzieci jest jeszcze większym obszarem społecznej kontroli niż seksualność). Można często czuć zawód i frustrację, że na przeżywane uczucia brakuje nazwy i formy albo okazują się one zbyt tradycyjne, stereotypowe i zubożające. Rodzicielstwo jest ciągłą walką o zachowanie tożsamości, i to nie tylko autonomicznej tożsamości odrębnego, nie tylko rodzinnego bytu, ale tożsamości również jako rodzic, członek rodziny. Każdego dnia trzeba ją wymyślać na nowo i bronić jako najcenniejszą, ale kruchą zdobycz. Posiadanie dzieci to rodzaj często bezmyślnej decyzji, której z biegiem czasu nadać możemy sens i szkoda z tego prawa nie skorzystać. To rodzaj doświadczenia, które umieszcza nas w innym porządku ciała, w innym porządku przejścia (przez proces, jakim jest nasze życie i życie innych) oraz przekazu (tego, co uznajemy za najważniejsze do przekazania), zmuszając do rewizji wielu pojęć związanych z własną tożsamością.

Posiadanie dzieci to wreszcie fakt niezwykle przyjemny. Jest w nim jakaś cielesna, hormonalna rozkosz, będącą przedłużeniem rozkoszy cielesnej. Jest jakiś kojący fakt naszej i nie-naszej obecności, która odbija fakt naszego istnienia. Myślę, że dlatego tak łatwo reprodukcja i wielodzietność stają się tematami ulegającymi konserwatywnej manipulacji. Jest to manipulacja przyjemnością, a właściwie prawem do przyjemności, a polega na autorytarnym i selektywnym ograniczeniu jego dystrybucji. Konserwatywny rozum z lubością wydziela ściśle normatywne zasady zakładania stadła, upatrując w ich „naturalności” podstaw jedynej słuszności. Jest to zazdrośnie strzeżone prawo do własnej przyjemności i niechęci, by się nią dzielić.

A jednak najtrwalsza wspólnota to wolna wspólnota chęci. To chęć bycia razem i chęć utrwalenia wyrazu tego pragnienia jest tu najważniejsza. Rodzina nieposzerzająca prawa poczucia wolności swoich członków nie jest w moim rozumieniu wspólnotą nowoczesną i skazana jest na klęskę. Paradoksalnie prawo wolności „do” dzieci precyzyjnie ufundowane jest na akceptacji całkowitej od nich wolności. ●



Fotografia z anonsu urodzinowego:
Pomme i Oskar
(dzieci Agaty Araszkiwicz)
fot. Focus Pocus/Bruksela,
oprac. Magda Araszkiwicz